

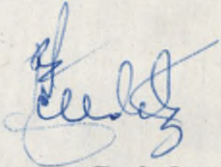
Ostrów Wlkp.dnia 19 lipca 1989 r.
ZAKŁAD BADANIA OPINII SPOŁECZNEJ "OPINIA"
/na ręce p.Ewy Wardaszko /

KOSZALIN
=====

W związku z ogłoszonym konkursem na wspomnienia,przesyłam w załączeniu
własne wspomnienia z lat 1939 - 1943,jako pracę konkursową.

Z poważaniem

Zał.1 na 21 ark.



mgr Tadeusz Fudała
ul.Manifestu Lipcowego nr 16 b/6
63-401 Ostrów Wielkopolski

PS.Proszę o powiadomienie o
wynikach konkursu.

=====

/Garść wspomnień spisanych na konkurs/

Dwie tragiczne daty zaważyły na przebiegu mego życia, w jego młodzieńczym okresie. Są to : 17 września 1939 roku i 10 lutego 1940 roku. One też stanowią zwrotne punkty w moim życiu, a jednocześnie wstęp do tułacznych przeżyć. Postaram się je przedstawić, tak jak zapisały się w mojej pamięci, lub w nielicznych dokumentach.

x

Podole to rodzinny kraj mego dzieciństwa. Tam to urodziłem się 6 grudnia 1924 roku, w miejscowości Wawelówka, gminy Grzymałów, powiat Skałat, województwo Tarnopol, jako syn Jany Fudały i Agaty z domu Kozłowskiej. Moi rodzice pochodzili z powiatu Przeworsk, gdzie sprzedawszy swą ziemię, kupili za nią 10 morgów ziemi na Podolu, w 1922 roku. Tak to na dobrach ziemskich hrabiów Baworowskich, rozparcelowanych przez bank, powstała osada Wawelówka. Wszyscy jej mieszkańcy pochodzili z Małopolski /województwa krakowskie i lwowskie/. Ludność Wawelówki jak i sąsiedniej Malinówki była rdzennie polska. Natomiast w innych miejscowościach powiatu skałackiego obok Polaków mieszkali również Rusini /wzgl. Starorusini, jak się określali/ oraz Ukraińcy, wyznania grecko-katolickiego. Natomiast w Skałacie było bardzo dużo ludności żydowskiej. Zabudowa Wawelówki była rozproszona, ze sporymi odległościami między poszczególnymi zagrodami /50 - 300 metrów/. Na obszarze Wawelówki wyodrębniały się trzy bardziej zwarte skupiska osiedleńcze. Nazywano je: Popławy /gdzie mieszkała moja rodzina/ Poddebina i Dolina. Ludność była całkowicie rolnicza, gospodarująca na czarnoziemie, żyznej, urodzajnej glebie.

Z obiektów ogólnowojskich w Wawelówce znajdowała się "Jednoklasowa Publiczna Szkoła Powszechna im. Stanisława Konarskiego", która również spełniała rolę placówki kulturalnej. W niej to młodzież zorganizowała w Kole Młodzieży wystawiała przedstawienia, tam też odbywały się zebrania ludności. Ponieważ budynek szkolny był położony najbliżej Poddebiny, a oddalony od innych części osady, mieszkańcy Popław postanowili wybudować u siebie Dom Ludowy.

Mój dziadek Roman Fudała przekazał bezpłatnie plac pod budowę. Ze składek pieniężnych ludności oraz robocizny, przy wsparciu ze strony Wydziału Powiatowego, powstał budynek murowany z cegły, kryty blachą. Znalazły w nim miejsce

sala świetlicowa, sklep Kółka Rolniczego i zlewnia mleka.

Budowę zakończono latem 1939 roku. W ostatnią niedzielę sierpnia 1939 roku, odbyła się uroczystość poświęcenia tego obiektu. Przybyli na nią "z powiatu starosta Sucherski i ksiądz dziekan Ferenc. Oni to potwierdzili wiadomość o zawartym w dniu 23 sierpnia pakcie przyjaźni między Niemcami i bolszewikami. Tak ludzie zebrani na tej uroczystości jak i później w domu, moi rodzice zastanawiali się nad konsekwencjami tego zbliżenia dwóch państw, sąsiadujących z Polską. Był to bardzo czuły punkt, zważywszy, że od rzeki Zbrucz, stanowiącej granicę z ZSRR w prostej linii było tylko około 25-30 kilometrów. Dlatego też spodziewano się, że pakt Mołotow-Ribbentrop może nam przynieść tylko zło, i tak się niestety później stało. Skoro sprzymierzyły się dwa wrogie ustrojowo państwa, to musiało nam to przynieść tragiczną przyszłość, tak nam jak i całemu krajowi. I to był wstęp do tego co nas czekało.

X

W 1939 roku nastroje wśród ludności Wawelówki, nastawionej patriotycznie, były dobre. Wypływały one z przeświadczenia, że nie damy się Niemcom. Poborowi z Wawelówki pełnili służbę w garnizonach Śląska i Wielkopolski. Mimo to ich rodziny, nie były tym zaniepokojone. Do służby wojskowej powołano niewielu żołnierzy rezerwy, co budziło niezadowolenie. Ojcowie rodzin wprost mówili: "mogę ja zginąć na wojnie, byle moje dzieci żyły w wolnym kraju". Tymczasem bezpośrednie zagrożenie miało nadciągnąć z innego kierunku, tym razem ze wschodu. Było już po żniwach, a więc plony zostały zebrane. Nie groziła więc głód. Nie było też paniki, wierzano zapewnieniom władz państwowych, że zwyciężymy. Jedynie ludzie pomni doświadczeń z poprzedniej wojny, uzupełniali zapasy nafty, soli, zapalek, towarów bez których trudno żyć na wsi. Braku tych artykułów nie odczuwano, wystarczyło ich dla wszystkich kupujących. Wrzesień 1939 roku był słoneczny i pogodny. Również dzień 17 września był bezchmurny. Spokój tego dnia zakłóciły przelatujące samoloty, rzadkość jak na ówczesne czasy. Gdy zastanawiano się co to za samoloty, one zniżyły lot, ukazując na skrzydłach czerwone gwiazdy i zrzucając ulotki. Sprawa się wyjaśniła, gdy z ulotek można było przeczytać wezwanie... "Bracia Ukraińcy! Berit sokyry i wyła, byjte Lachiw, waszych worohiw" itd. /Bracia Ukraińcy! Bierście

urywek z wiersza zamieszczonego w tej gazecie:..."Piatyriczni naszi zirky osijały temnyj kraj"czyli, że "pięcioramienne nasze gwiazdy, oświeciły ciemny kraj". Tymczasem rzeczywistość była szara i smutna, a mieszkańcy przynębieni, zastraszeni i niepewni jutra. Szerzyły się aresztowania niewinnych ludzi, z nieznanych przyczyn. ^{Lutko} ~~Szerzyło się~~ donosicielstwo. Ludzie stali się nieufni, zdani na panujący terror. Aresztowanych wywożono za Zbrucz, tak że los ich był nieznany.

Jesienią 1939 roku, a później na przełomie 1939/1940 r. kilkakrotnie spisywano mieszkańców. Zwykle czynił to jakiś umundurowany funkcjonariusz NKWD, któremu towarzyszył przedstawiciel miejscowej "władzy". Jaki był tego cel? Poza zarejestrowaniem ludności chodziło zapewne o zastraszenie ludzi i zasianie niepewności.

Jesienią 1939 roku odbyły się "wyborzy" do "Narodniw Zberiw", po czym zebrały się one we Lwowie, by tam prosić o przyjęcie "Zachidnej Ukrainy" do wielkiej rodziny radzieckich narodów. Oczywiście Rada Najwyższa ZSRR wspomniałomyślnie przychyliła się do tej uniżonej prośby, przyłączając te tereny do ZSRR, a ich mieszkańcom narzucając obce, bo sowieckie obywatelstwo. Czy i na ile zaczęło wówczas obowiązywać radzieckie prawo, trudno powiedzieć, gdyż faktycznie nic się nie zmieniło. Dalej kwitło bezprawie, gdyż "Silanskiye Komitety" raźniej zabrały się za zabieranie chłopom-Polakom ziemi i inwentarza żywego, zwłaszcza, iż wiosna się powoli zbliżała. Mego ojca również potraktowano jako "kurkula" czyli kułaka, zabierając część ziemi i dwie krowy.

Zima 1939/40 była sroga, z silnymi mrozami i dużymi opadami śniegu. Utrudniało to kontakty między mieszkańcami. Były one potrzebne gdyż wobec łatwego dostępu do broni palnej zaczęły się szerzyć napady rabunkowe. W dzień ograbiano pod przykrywką rzekomego prawa, a w nocy rabowano po bandycku. Jak tu żyć, skoro ze względu na rozproszoną zabudowę, nie można było zorganizować samoobrony ludności, czy chociażby systemu alarmowego. Mój ojciec czuwał w nocy, przy oknie z siekierą w rękę, zdecydowany na obronę rodziny. Dzieci siedziały w domu, gdyż szkoła nie została uruchomiona.

Tymczasem dochodziły wieści, że niektórzy dorośli mieszkańcy Wawelówki, nocami spotykają się z Ukraińcami z Poznanki Gniżej. Jak się później okazało to wtedy właśnie typowane do wysiedlania. Czym się kierowano ^{dokładnie to} niewiadomo.

Głównie chodziło o wywiezienie tych, na czym gospodarstwie można się będzie dobrze "obłowić", chociaż ~~później~~ wysiedlano i rodziny wielodzietne, prawdziwą wiejską biedotę. Tak oto miejscowi wskazywali "wrogi element" niebezpieczny dla radzieckiej władzy, a przybysze zza Zbrucza wierzyli im. Zwłaszcza, że byli oni ogromnie uwrażliwieni na wszelkiego rodzaju mundury. Wystarczyło, że ktoś donaszał jakiś mundur, lub w domu wisiało zdjęcie przedstawiające daną osobę w mundurze np. strażaka, woźnego, listonosza, gajowego itp. a już w ich oczach był przedstawicielem aparatu ucisku "burżuaznej Polski". Dlatego też niejako profilaktycznie należało takiego osobnika aresztować a jego rodzinę wywieźć w głąb ZSRR.

Przygotowania do wysiedlenia były prowadzone w dużej tajemnicy. I chociaż w przeddzień wywózki widziano na stacji kolejowej ^{w Skałacie} duży skład pociągu, złożony z wagonów towarowych, nad dachami których sterczały blaszane kominki nie skojarzono sobie tego z tragiczną przyszłością, zbrodnictwem wyrzucenia ludzi z ich domów, na wygnanie, tułaczkę i poniewierkę.

Zarejestrowana w toku ostatniego spisu moja rodzina składała się z ojca Jana Fudały /rocznik 1893/, matki Agaty /rocznik 1898/, siostry Marii /urodzonej w 1927 r./ brata Eugeniusza /rocznik 1933/, jak też siostrzenicy mamy Apolonii Kramarskiej /rocznik 1928/ oraz mnie. W takim składzie położyliśmy się spać nie wiedząc co nas czeka następnego dnia.

X

Nastał mroźny poranek dnia 10 lutego 1940 roku. Gdy się rozwidniło, ojciec zauważył wzmożony jak na tę porę dnia, podejrzany ruch zaprzęgów konnych. Pobudzano nas, po czym ubraliśmy się ciepłej wkładając na siebie więcej niż zwykle odzieży. Mama zdążyła jeszcze wydoić krowy i przygotować śniadanie. Wtedy to i przed nasz dom zajęchały sanie zaprzężone w parę koni. Znajdowało się na nich oprócz woźnicy, dwóch umundurowanych i uzbrojonych osobników.

Po wejściu do domu oświadczyli, że w ciągu kilku minut musimy się zebrać i opuścić dom, bo zostajemy wysiedleni. Ta wiadomość niemal nas sparaliżowała, tozległ się płacz i krzyk, co jednak absolutnie ^{nie} wzruszało tych "ludzi". Ponaglali nas wołając "dawaj poskarieje". Jedynie ojciec nie stracił głowy i zdążył wynieść na sanie pościel, worek maki, beczułkę z mięsem, garnki. Mama

w pośpiechu wrzuciła nieco odzieży do drewnianego kufra. Popędzani przez "bojcow" ubrawszy się w ⁴wierzbianą odzież, zostaliśmy wyprowadzeni z domu, opuszciliśmy go na zawsze. Saniami zawieziono nas na miejsce zbiórki, koło budynku szkolnego. Tam marzliśmy do godzin popołudniowych, nim zwieziono wszystkich, po czym długi wąż saní ruszył do stacji kolejowej. Ludzi targała bezsilna rozpacz, a nad saniami unosił się rzewny płacz. Jeszcze na miejscu zbiórki było widać jak mieszkańcy Poznanki Gniłej, wożą do siebie zdobycz, zabraną z naszych domów. Później i domy zostały rozebrane.

Z najbliższej rodziny mego ojca zostali oprócz nas wywiezieni z Wawelówki:

- dziadek mój Roman Fudała liczący ponad 70 lat. Zmarł na Uralu.
- siostra ojca Marcjanna Olbrycht z rodziną. Tak ciotka jak i wujek Jan Olbrycht tam zmarli. Dzieci ich wróciły do Polski.
- siostra ojca Karolina Kubicka z rodziną została wywieziona do Autonomicznej Republiki Komi, gdzie zmarła. Wujek Franciszek Kubicki wrócił do kraju w szeregach Wojska Polskiego, lecz poległ w walkach nad Wisłą. Troje ich dzieci nie wróciło. Nie wiadomo co się z nimi stało, gdyż poszukiwania za pośrednictwem Polskiego Czerwonego Krzyża nie dały wyniku.

Łącznie więc z najbliższej rodziny mego ojca zostało wywiezionych 20 osób, a powróciło tylko 12. Wśród pozostałych na zawsze na obcej ziemi, jest i mój ojciec zmarły na Uralu 4 lipca 1944 roku.

Natomiast z rodziny stryjecznego brata ojca Franciszka Fudały na wysiedlonych 31 osób, do kraju wróciło tylko 19. Liczby te ukazują wysoką śmiertelność spowodowaną bardzo trudnymi warunkami pracy i życia, niedożywianiem, srogim klimatem, brakiem opieki medycznej itp.

Na stacji kolejowej załadowano nas do wagonów towarowych, takich więzień na kołach. W wagonach były trzy piętrowe prycze z desek. Na środku wagonu stał żelazny piecyk, rura od którego wystawała ponad dach. Z drugiej strony wyzierał z podłogi otwór obity blachą, przeznaczony do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Okna wagonu były zakratowane. Do każdego wagonu wpędzano do pełna, po kilka rodzin, zasuwało drzwi i ryglowano je zasuwą. Byliśmy zgłodniałymi ¹vzniębnięci. Z trudnością udało się rozniecić ogień w piecyku, zwłaszcza, że pociąg był już w ruchu. W milczeniu żegnaliśmy rodzinną ziemię

Podróż pociągiem trwała ponad dwa tygodnie. Nasz konwój zajął się spisywaniem i kontrolą obecności, nie wiele troszcząc się o wyżywienie "pasażerów". Dokuczał również mróz, szron pojawił się na metalowych częściach wagonu. Nie pomagało palenie w piecyku, a i opał się wyczerpał. Już w głębi ZSRR w czasie postoju na stacji można było nabrać "kipiatku", i na tym sporządzać jakieś pożywienie. W drodze w jednym z wagonów zmarła starsza osoba. Na najbliższej stacji zabrano zwłoki, wykreślono ze spisu wysiedleńców i po sprawie. W podróży towarzyszył nam złowieszczy ryk syreny parowozu, uwołąc nas w kierunku północno-wschodnim.

X

Po obu stronach toru rozciągały się lasy. Jak się później okazało była to uralaska tajga, nasze przeznaczenie. Na stacji Niżniaja Łobwa nastąpiło wyładowanie z wagonów. Bagaże, skromny dobytek wysiedleńców oraz część ludzi, głównie mężczyzn załadowano na ogromne sanie zbite z drewnianych bali, ciągnięte przez traktory na gąsienicach. Odległość do miejsca przeznaczenia wynoszącą ok. 90 km. pokonały one w ciągu trzech dni. Ludzie okropnie marzli na tych saniach, chociaż część drogi biegli. W tym czasie mróz w dzień jest nie mniejszy niż 35-40 ° C. Pozostałe osoby zostały przewiezione odkrytymi samochodami.

Nasze miejsce osiedlenia, to "posiełek" Chłynowka, koło Jołwy, rejon Nowaja Lala, obwód Swierdłowski. Droga do niego wiodła z Łobwy, przez Łapajewo, Koptiaki Krasnyj Jar, Pieriewoz i Rojkę. Sam posiełek był położony na wschodnim stoku uralskiego grzbietu górskiego, na tzw. Zauralu, czyli już w Azji.

Część naszego transportu trafiła do posiołka Kuszwa, oddalonego o ok. 30 km. Na Chłynowce zamieszkały rodziny o nazwiskach: Hojsak, Fałat, Piasek, Biel, Bocon, Samek, Rachwał, Uzar /2 rodziny/, Karaszewski, Stecyszyn, Kucharczyk, Michalik, Fałat /druga rodzina/, Kwaśniewski, Gratkowski, Gębka, Biesiada, Żaczek, Bęcar /dwie rodziny/, Leżań, Hajduk, Sulik, Kubicki, Fudała /2 rodziny/. Są to nazwiska, które pamiętam, bo łącznie było nas ok. 40 rodzin. Wszyscy byli poprzednio mieszkańcami powiatu Skałat i pochodzili z miejscowości: Wawelówka, Malinówka, Horodnica, Krzywe, Stary Skałat i Nowosiółki Skłałackie.

Zabudowania posiołka zostały wzniesione przez naszych poprzedników, "epicopie

"spiec pieriesieleńców" z okresu przymusowej kolektywizacji. Zostali oni przywiezieni w tajgę z Ukrainy i Kurgańskiej Gubernii, gdzie musieli sobie wybudować domy. Zabudowania z bali drewna, składały się z domu mieszkalnego /złożonego z izby mieszkalnej, kuchni i komórki/ oraz obórki na krowę i szopki na drewno opałowe. Przed naszym przyjazdem zostali oni wysiedleni po raz drugi. W każdym z tych domów pomieszczono jedną większą, lub dwie mniejsze rodziny.

Domy były oczywiście puste, tak że "meble" trzeba było wykonać własnym pomysłem. I tak z okrągłaków surowego drewna, przy pomocy piły i siekiery, powstały przy^zę do spania, coś w rodzaju stołu i stołków do siedzenia. Nie brakowało drewna na opał, tylko że trzeba go było przynieść na barkach z lasu.

Domy były zbudowane z okorowanych sosnowych bali, na zrąb czyli bez użycia gwoździ. Szpary w ścianach były uszczelnione mchem, w którym lubiły się gnieździć "kłopy"/pluskwy/, pasożyt trudny do wytępienia.

W posiołku Chłynowka obok domów mieszkalnych "spiec pieriesieleńców" znajdowały się jeszcze zabudowania o charakterze "ogólnosiedlowym" jak:

- dom w którym wraz z rodziną mieszkał komendant posiołka Wojnow. Był to umundurowany funkcjonariusz NKWD, nasz władca. Obok jego domu znajdowała się "katałażka" czyli areszt, oraz stajnia gdzie trzymał krowę i służbowego konia,
- "bania" czyli łaźnia osiedlowa,
- klub z pomieszczeniem do gier, biblioteką i czytelnią,
- punkt felcherski gdzie mieszkał i przyjmował felczer,
- szkoła z mieszkaniem dla nauczycielki.

Wolnymi mieszkańcami posiołka byli tylko rodzina komendanta i nauczycielka. Natomiast tak felczer jak i wszyscy Polacy byli "spiec pieriesieleńcami" czyli przesiedleńcami specjalnego charakteru. Oznaczało to, że nie mamy żadnych praw obywatelskich, a na ewidencji pozostajemy u komendanta NKWD. On też dyktował nam obowiązki, bo prawo to było ale do ciężkiej pracy w tajdze. Bez jego zgody nie było wolno oddalać się z posiołka. Nie dotyczyło to tylko wychodzenia do pracy.

W odległości około kilometra znajdowało się osiedle Jołwa. Tam to była

"kontora Miechlesouczałka", czyli oddziału naszego pracodawcy, jakim było Łobwińskoje Lesnoje Promyszlennoje Choziajstwo, z siedzibą w Łobwie. Przedsiębiorstwo zajmowało się eksploatacją tajgi czyli wyrębem drzewa w tajdze, jego spławianiem rzekami i przerobem w tartaku w Łobwie.

Od pierwszych dni marca 1940 roku cała dorosła ludność Chłynowki /od 14 lat w górę/ rozpoczęła pracę w tajdze. W okresie zimowym praca polegała na wyrębie drzew, wywożeniu okraglaków traktorami i końmi na składowiska, gdzie je cięto na kawałki o wymaganej długości. Następnie te bale były wywożone i układane na wysokie stosy nad brzegami rzeki Jołwy. Były więc przygotowane do wiosennego spławu. W miejscu wyrębu tajgi, odrabane od pni "suczki" /gałęzie/ były palone, czym zajmowali się najmłodsi wiekiem "lesoruby" /drwale/.

Pracowaliśmy pod kierunkiem miejscowych ludzi /wolnych i przesiedleńców/ sprawujących funkcje majstrów i brygadzystów. Dziwili się oni jak to "polskie pany" /gdyż tak nas określano/ mają takie spracowane ręce. A praca była i bardzo trudna oraz ciężka, a głównie to nieznana i wykonywana w okropnych warunkach. Było dużo śniegu, bo po pas i głębiej, dokuczał mróz /powyżej 40°C można było nie pracować, ale bez wynagrodzenia/, a tu nie było odpowiedniej odzieży i obuwia.

Wiosną następował spław, czyli staczanie drewna w spienione nurty rzek, a następnie baczenie by płynęło ono dalej. Trzeba więc było rozbierać "zatory" gdy bale tworzyły spiętrzoną przeszkodę. W czasie rozbierania takiego "zatoru" utonął przygnieciony okraglak, Bazyli Telega z Kuszwy. Ponadto wywożono z tajgi resztki zimowego wyrębu. Latem, gdy wyręb był minimalny, na niewielkich polankach w tajdze oraz w miejscach ^{które} ~~gdzie~~ przed laty wypalił ogień, koszone i suszono trawę. Odcinek musiał być samowystarczający i przygotować odpowiednią ilość siana dla koni na zimę. W okresie wiosennym, gdy w tajdze panowała jeszcze wilgoć, młodsi wiekiem pracownicy, w tej liczbie i ja "żgli suczki" czyli palili gałęzie pozostałe po wyrębie drzew w zimie. Chodziło o to, by zmniejszyć niebezpieczeństwo pożaru.

Pracę w tajdze rozpocząłem w drugiej dekadzie marca 1940 roku. Z zachowanej "Raszcotnej książki" /książeczki obrachunkowej /wynika, że w marcu przepracowałem 15 dni, zarabiając 62 ruble. Złożyła się na to praca przy oczyszczaniu

z pni i krzewów placu składowania bierwion oraz brzegu rzeki pod przyszły spław, tak aby bale nie miały się na czym zatrzymywać. Brałem też udział w przygotowaniu drogi dla traktorów gąsienicowych wywożących dźwżycę. Jako na rzędzie pracy otrzymałem topór, tak ciężki że ledwie go utrzymywałem w rękach. Do ukończenia 16 roku życia pracowałem po 6 godzin dziennie, ale kto je tam mierzył, zwłaszcza że nie było zegarków.

Tajga była podzielona na kwadraty o boku 4 wiorsty /tzw. kwartały/. Od kwartału określano też miejsce pracy, gdyż tam były baraki. Do pracy w kwartałach 73, 85 i 96 wychodziło się na cały tydzień, i tam się pracowało i spało. Ze względu na oddalenie kilkunastu kilometrów do pracy wychodziło się w niedzielę popołudniu, a wracało w sobotę w nocy. Obowiązek pracy dotyczył wszystkich, czego dopilnowywał komendant poseszka. Za to też z naszego wynagrodzenia brutto, potrącano nam 10 % na NKWD. Ponadto potrącano z wynagrodzenia jeszcze podatek dochodowy i opłatę kulturalną. Praca była wyłącznie ręczna, tylko transport był zmechanizowany. A zarobki były różne, od 33,75 rubla w październiku 1940 r. do 595 rubli w marcu 1941 roku. i to za bardzo ciężką pracę przy "razgruzce" czyli rozładowywaniu sań z bierwionami.

W tajdze rosły smukłe sosny, jodły, świerki, modrzewie i karłowate brzozy. Ponadto spotykało się zagajniki złożone z limby syberyjskiej, tam nazywane "kiedrami", gdzie dojrzewały szyszki zawierające "kiedrowyje orieszki", przysmak miejscowej ludności i wiewiórek.

Nieznajomość pracy w lesie, trudne warunki klimatyczne, sprawiały, iż Polacy wykonując prace gorzej płatne, względnie nie wyrabiając norm gorzej też zarabiali. Brakowało więc pieniędzy na zakup żywności, co zmuszało do wyprzedazy skromnego mienia, zwłaszcza takiego mniej potrzebnego /np. obrusy, kapy na łóżka itp/. Sprzedawali je lub wymieniali u miejscowej ludności na ziemniaki czy też mleko dla dzieci. Komendant wiedząc o tym zwoływał więc Polaków i nawiązywał do lepszej pracy, bo tu "będziecie żyć i umierać. Swojej Polsce już więcej nie zobaczycie". Tak więc naganiając nas do pracy, niby to przedstawiając przez pozbywaniem się potrzebnych rzeczy, jednocześnie starał się zabić w nas wszelką nadzieję na przetrwanie i powrót do ojczyzny.

Na kwartałach obok baraków dla robotników, był jeszcze barak dla kierownictwa i stołówka.

Barak mieścił dużą salę, w której pod ścianami stały żelazne "kojki"/łóżka/ małe pomieszczenie do suszenia odzieży oraz izba dla "storożychy" czyli takiej dozerczyni. Na środku baraku stał duży żeliwny piec, w którym bez przerwy palił się ogień, ogrzewając pomieszczenie. Na piecu stał ogromny kocioł z gorącą wodą. Łóżka były przykryte skąpym siennikiem wypchanym trawą oraz prześcieradłem i kocem. Najlepiej sytuację może zilustrować czastuszka o treści: "Nadojeli nam baraki, nadojeli kojeczki, jeszcze chuże nadojeli, lesozagotowoczki", czyli wyrąb tajgi. Ogromnie wyczerpująca jest praca na mrozie, w głębokim śniegu utrudniającym poruszanie się, zwłaszcza gdy się niema odpowiedniej odzieży /ciepłe, watowane kurtki i spodnie oraz rękawice/ i "walenek" czyli butów z wołoku. Na nic tu skórzane obuwie. Przemoczone i intensywnie suszona skóra pękała i kruszyła się.

Początkowo dano nam możliwość zaliczkowego kupna łapci /plecionych z łyka/ oraz "partianek" czyli onuc. Szybko się one zużywały i były niepraktyczne, gdyż szybko przemakały i nogi w nich marzły. Stopniowo umożliwiono nam zakup cieplejszej odzieży roboczej i walenek, częściowo wymieniało się je u tubylców za inne części garderoby. Zaliczki można było pobierać 2-3 razy w miesiącu, lecz końcowa wypłata była wówczas skąpa.

Przebywając w kwartale częściowo żywiliśmy się w stołówce. Wyżywienie składało się z zup /najczęściej rybnych/, kasz omaszczonych olejem z dodatkiem kawałka ryby czy kaszy manny oraz chleba. Potrawy zgoła nie dla ciężko pracujących drwali. Co 2-3 dni dowożono chleb, co pozwalało nim łątać dziury w pożywieniu, a ponadto śniadania i kolacje przygotowywać we własnym zakresie. Pewnego dnia kupiłem na kwartale dwu kilogramowy bochenek, świeżego razowego chleba. Kroiłem go po kawałku, posypywałem solą i popijałem czystym kiejatkiem. Zjadłem na raz cały bochenek chleba i nie najadłem się do syta. oto problem młodego, stale głodnego organizmu, domagającego się należnych składników pokarmowych.

Jadłospis uzupełniało się herbatą z borówki - brusznicy, lub liści czarnej porzeczki lub maliny. Tajga obfitowała też w grzyby /czerwone kozaki, maślaki i rydze/ oraz jagody /brusznica, malina, porzeczka/. W Chynowce obok domu był niewielki ogródek, z ubogą i kamienistą glebą. Kupując u tubylców ziemniaki, część z nich przeznaczaliśmy na sadzeniaki. Owszem ^wpośchodziły, 2-3 razy

w nocy mróz zwarzył łąty, tak że i plony były mizerne.

Prawdziwym utrapieniem w tajdze są chmury komarów i małych muszek, które pojawiają się zaraz po stopnieniu śniegu, i dokuczają do pierwszych mrozów. W uralskiej tajdze, mimo wyżynnego położenia jest mnóstwo bagien i mokradeł, siedlisk tych owadów. W tajdze można tylko przebywać mając na głowie siatkę, a i to między jej oczkami muszka pcha się w nos, oczy i usta. Okropna plaga, w dodatku roznosząca zarazki malarii. Osiedla są zwykle budowane nad rzekami skąd też czerpie się wodę do użytku domowego. Gorzej jest w tajdze, gdy wypadało pracować zdala od strumyków. Wtedy to wody można się bało napić, ale deszczowej jaka się zgromadziła w wgłębieniach po śladach wydeptanych racicą łośia. W takiej wodzie aż roiło się od różnych robaków, toteż piko się ją ale przez źdźbło trawy.

Obok schorzeń spowodowanych zimnem, licznymi przeziębieniami i odmrożeniami, częste były choroby wywołane brakiem witamin. Ja sam cierpiałem na "kurzą ślepotę" oraz nękały mnie liczne owrzodzenia. Wśród polskiej ludności panowała wysoka umieralność, obejmująca zwłaszcza małe dzieci oraz osoby najstarsze wiekiem. Przyczyniały się do tego surowy klimat, brak odpowiedniej odzieży i obuwia, skąpe wyżywienie i trudności w przystosowaniu się do ciężkich warunków życiowych. Mimo ciężkiej, wyczerpującej pracy nie znane było ^{tam} pojęcie urlopu wypoczynkowego. Nikt z niego nie korzystał.

Przy pracy w tajdze bardzo się niszczyła odzież, zwłaszcza iskry z palonych gałęzi padając na odzież, wypalały w niej diurki. Miały więc nasze matki co łątać, gdy przychodziliśmy na niedzielę do domu. Ludzie sami też łątali sobie podarte obuwie. Kwitła samozaradność. Przez miejscową ludność były cenione kobiety znające krój i znające szycie. Na przykład Marysia Gębikówna, rzadko pracowała w tajdze, gdyż była zajęta ~~szeziame~~ szyciem dla żony komendanta.

Ja natomiast dorabiałem w niedziele pisanie listów. A to dlatego że miałem papier /notatnik zabrany z domu/ i atrament zrobiony z kopiowego ołówka. Wszak wśród naszych wysiedleńców byli i analfabeci, stąd ta potrzeba pisarska.

Lato 1940 roku przyniosło znaczne pogorszenie sytuacji. Wprowadzono bowiem kartki na artykuły żywnościowe i przemysłowe. Ponadto wyszły ^{surowe} przepisy o dyscyplinie pracy, i za "proguły"/spóźnienie czy nieobecność w ~~pracy~~ pracy/

sąd skazywał na co najmniej 6 miesięcy "łagru", czyli kary pozbawienia wolności połączonej z przymusowym wykonywaniem katorżniczej pracy w tajdze lub kopalni. Pobyt w jednym z obozów "Siewurałłagu" czyli Siewiernych Urałskich Łagierej, zwłaszcza dla starszych ludzi, nie mogących wykonać normy pracy, kończył się powolną śmiercią.

Do licznych utrudnień w życiu i ciężkiej pracy w tajdze, dochodziła jeszcze kiepska kondycja psychiczna, ludzi wygnańców. Komendant ciągle krakał, że... "Pańskiej Polski bolsze nie uwidite. Zdieś budiete żyt'i pomirat' ". Do tego tubylcy dorzucali... "Prywykniesz, a kak nie prywykniesz to zdocziesz". Żadna perspektywa z tym przyzwyczajaniem do miejscowych warunków. Znikąd też krzepiących wiadomości o tym co się dzieje na świecie. Starąłem się czytać w niedziele gazety w klubie, zanim je palacze rozchwyтали do skręcania papierosów. Ale w gazetach artykuły były albo bałwochwalc^{te}e, a o tematyce międzynarodowej nastrojone na "niemiecką nutę". Jedyna korzyść z czytania do doskonalenia się w opanowaniu języka rosyjskiego. Pociechy szukano więc w seansach spirytystycznych, gdzie przy pomocy talerzyka wywoływano duchy. Nikt się ^{jednak} nie załamał, a wiara w powrót do ojczyzny podtrzymywała na duchu.

Najgorsze samopoczucie mieliśmy w okresie świąt, doskwierał brak kościoła, oraz nędzą dnia codziennego. Dostępna była tylko choinka, gołe drzewko bez ozdób. W ponad osiemnastomiesięcznym okresie zesłania, nie został na Jołwie zawarty ani jeden związek małżeński, nie urodziło się ani jedno dziecko. Natomiast było sporo zgonów ^{małych} to najczęściej wśród dzieci i osób najstarszych wiekiem. Polskie dzieci nie uczęszczały też do szkoły i nie uczyły się. Powiększały się więc szeregi analfabetów.

Ponieważ byłem z rodziną dlatego też mniej miałem trosk i zmartwień, łatwiej znosiłem pobyt na zesłaniu. Tymczasem powoli zbliżała się zmiana.

x

Wiść o wybuchu wojny między niedawnymi przyjaciółmi, Związkiem Radzieckim i Niemcami, dotarła do Chłynowki w niedzielę 22 czerwca 1941 r. wraz z powołaniami do służby w armii. Co to miało oznaczać dla nas pokazała najbliższa przyszłość. Gdzieś w drugiej połowie sierpnia 1941 r. w niedzielę zaczęto wzywać Polaków-mężczyzn do komendanta. Okazało się, że są tam jeszcze dwaj

umundurowani osobnicy, i oni usiłowali im wręczyć jakieś dokumenty pisane po rosyjsku. Zarówno podejrzliwość co do zamierzeń NKWD jak i obawa przed pułapką sprawiły, że nie wzięli tych papierów. W drugiej turze został wezwany i mój ojciec, który przeczytał treść tego dokumentu i wziął go. Za jego przykładem poszli i inni mieszkańcy, w tej liczbie i ja, gdyż wręczano go wszystkim, którzy mieli ukończone 16 lat życia.

Dokument ten o nazwie "Wremiennoje udostowierienje" czyli tymczasowe zaświadczenie, został wydany przez Rejonowe Uprawlenje NKWD w Nowej Lali i stwierdzał, że jego okaziciel /tu wymieniano nazwisko, imię i imię ojca/ oraz datę urodzenia /na podstawie Ukazu Prezidium Wierchownogo Sowjeta SSSR został objęty amnestią jako polski obywatel. Ma on prawo przebywania na terytorium ZSRR, za wyjątkiem pasa przyfrontowego, strefy zakazanej oraz miast I i II kategorii. Takie oto zbawienne dla nas okazały się skutki zawartego w dniu 30 lipca 1941 r. w Londynie układu między Rzeczpospolitą Polską a rządem ZSRR. Mimo, iż nie popełniliśmy przestępstwa, nie ciążył na nas żaden wyrok, objęła nas amnestia. Grunt, że odzyskaliśmy wolność, jako posiadacze dokumentu mogliśmy zmienić miejsce pobytu, no i mieliśmy określoną przynależność państwową. Co to praktycznie oznaczało, może docenić tylko ten kto tam wówczas się znajdował.

Wolność przyszła nagle, wprost zaskakując. Jak z niej skorzystać, co robić, gdzie jechać? Jedno było pewne, nie można pozostać w tajdze, trzeba szukać lepszych warunków? Moi rodzice jako rolnicy z zawodu i ludzie praktyczni, byli przekonani że w warunkach wojennych łatwiej będzie przeżyć w kołchozie, a te podobno znajdowały się na południu. Tak więc 14 września 1941 r. był ostatnim dniem pracy w "Jołwińskim Lesouczastrku". Rozliczono nas, wypłacono należny zarobek i odebrano kartki żywnościowe.

Następnego dnia o świcie kilku mężczyzn, w tej liczbie ojciec i ja, wyruszyliśmy pieszo do stacji kolejowej w Łobwie. Odległość 90 km. została rozłożona na dwa dni. Na miejscu pozostała mama i rodzeństwo. Podzieliliśmy się skromnymi "zapasami" żywności. Dla nich pozostały resztki ususzonego chleba /suchari/ i kaszy, do czego mieli sobie zbierać grzyby i jagody. W Łobwie wsiedliśmy do pociągu, by wysiąść na stacji Wjerchoturje. Pieszo dotarliśmy do siedziby

władz rejonowych. Tam w Rajonnym Ziemielnym Otdiele ucieszyli się, że są chętni do pracy w kołchozach i dali nam skierowania.

Ojciec mój i trzech mężczyźni /poza mną/ otrzymali skierowania do kołchozu im Mołotowa. Niedługo pod Rajzo podjechały konne zaprzęgi z kołchozu, które przywoziły zboże do miasta, i w powrotnej drodze nas zabrały. Do kołchozu było 36 kilometrów. Droga wiodła Irbitskim Traktem, przez most na rzece Turii i ~~prx~~ między innymi przez wieś Prokop-Sałdę, siedzibę naszego Sielskiego Sowjeta. Na wieczór byliśmy już w kołchozie, gdzie też w kołchozowej stołówce dano nam smaczną "pochlebkę" /zupę/ i świeży pszenny chleb, które nam smakowały. W tym czasie w kołchozie było co jeść.

Przewodniczący kołchozu Iwan Warłamowicz Zapłatin /kaleka i analfabeta/ bardzo się ucieszył, że kołchoz zasili, zwłaszcza męska siła robocza. Bo mężczyźni oczywiście zdrowi jako tako, byli już w armii. Z młodych mężczyzn był w kołchozie tylko "szczetowed" /rachmistrz-księgowy/ kołchozu kulawy Paweł Zapłatin. Był to prawdziwy kogut, który używał sobie z co ładniejszymi "żołnierkami", które nie mogły się oprzeć jego zalecankom. Do kołchozu należały cztery niewielkie wioski: Nikitina, Sobienina oraz dwie Zapłatiny. Nam przydzielono opuszczony dom /po rolniku, który wolał przenieść się do miasta, niż iść do kołchozu/ w większej Zapłatinej. Mieszkańcy nosili tam Nazwiska przeważnie Zapłatin i Nikitin.

Kołchoz prowadził produkcję roślinną uprawiając: pszenicę, żyto, owies, ziemniaki oraz prowadził niewielkie ogrodnictwo. Na hodowlę składały się ferma krów dojnych, cielętnik^{owczarnia}, ^{i transportu} świniarnik i kurnik. Do prac polowych ^{trzymane} konie robocze. Dla reprodukcji kołchoz posiadał rasowego "rysaka" ogiera Orlika oraz buhaja. Do prac w polu korzystano z usług Maszyny Traktornąj Stancji, która wykonywała orki, bronowania, siewy oraz część prac żniwnych i omłotowych. Zaraz następnego dnia zostaliśmy włączeni do pracy przy kopaniu ziemniaków. Od samego początku prosiliśmy przewodniczącego kołchozu o konia do przywiezienia rodziny. Kilka dni musieliśmy jednak popracować, by wykopać ziemniaki, gdyż zbliżały się już mrozy. Po kilku dniach ojciec i pozostali Polacy dostali po jednym zaprzęgu i wyruszyli, w drogę liczącą około 150 km. w jedną stronę. Podróż zajęła więc ponad tydzień. Był to już ostatni "dzwonek" gdyż mama i rodzeństwo praktycznie głodowali.

I tak oto zostaliśmy na trzy lata mieszkańcami wsi Zapłatina. Uralskie wsie posiadają zagrodową zabudowę. Budynki /dom mieszkalny, obora, stodoła i spichlerz/ tworzą czworobok, z bramą wjazdową pośrodku. Ponadto każdy zasiedziały kołchoźnik posiadał na brzegu rzeki "banię" czyli parową łaźnię. Budynek mieszkalny składał się zwykle z dwu izb. Jedna z nich paradna tzw. "gornica" była nieużywana, a w drugiej toczyło się codzienne życie.

Przydzielony nam na zamieszkanie budynek składał się tylko z domu mieszkalnego, częściowo zniszczonego wskutek opuszczenia. Dom posiadał sien, komórkę i dużą izbę. Znajdowała się w niej "russkaja piecz" /piec chlebowy/ z wejściem obok do znajdującej się pod piecem "gołbsy" czyli piwnicy. Pod sufitem znajdowała się "pałat" czyli drewniana półka, służąca do spania, podobnie jak i piec. Gotowanie potraw i pieczenie chleba odbywało się w piecu, dlatego był on zawsze ciepły. Tak oto występowało przystosowanie do klimatu.

Sytuację żywnościową w kołchozie można podzielić na kilka etapów. W 1941 r. gdy na "trudodzień" /dniówkę obrachunkową/ przypadło po 3 kg. zboża, było stosunkowo nieźle, starczało na jedzenie. W późniejszym okresie, gdy zmuszano kołchoz do oddawania ponad planowych dostaw zboża dla Krasnoj Armii, nie było już co dzielić. Podział dotyczył już tylko zaliczek, czyli tego co zostało już zjedzone. Później i tego nie było, więc do odrobiny maki, nawet kołchoźnice zmuszone były dodawać pokrzywy i liści łopianu. A przecież kołchoźnice mając krowę i owce były w lepszej sytuacji niż my. Na drugi rok to i my mieliśmy trochę swoich ziemniaków, kapusty i cebuli, które wyrosły na przydzielonym nam kawałku ziemi. Gdzieś w końcu 1942 r. zaczęto nam dawać z Sielsowietu, na niepracujące dzieci, kartki żywnościowe, na które od czasu do czasu udawało się wykupić nieco maki, ale nie zawsze ona była dostępna.

Po okresie wykonywania różnych prac, zimą 1941/42 wykonywałem czynności wozni wody. Po nawiezieniu wody dla krów, cieląt i świń, mogłem którejs z kołchoźnic przywieźć słomy, siana czy drewna z tajgi, i w ten sposób zarobić wiadro ziemniaków wagi około puda /czyli 16 kg/ albo mleka. To się liczyło. Wygodnie więc było pracować koniem. Wiosną 1942 roku ogólne zebranie kołchoźników wybrało mnie na brygadzystę polowej brygady. Mimo, że nie byłem członkiem kołchozu, trafiłem do jego "elity" kierowniczej. A to dlatego, że byłem "gramotny"

a to się liczyło wśród niepiśmiennych. A brygadzysta miał sporo do pisania. Nie była to przyjemna czynność prządzenia częścią kołchozu, ale jakoś wytrwałem przez dwa lata, czyli do pójścia do wojska. W tym czasie zmieniło się kilku przewodniczących kołchozu, gdyż nie było chętnych do pełnienia tej funkcji. W kołchozie w tym czasie mężczyźni to byli albo "stariki" po sześćdziesiątce, albo inwalidzi, w dodatku potrafili się zaledwie podpisać. Dlatego też na codzień dyrygował nimi czyli przewodniczącym głównie starosta kołchozu. Na tomiast na każdą "kampanię" czyli na siewy, sianokosy, żniwa i omłoty był przysyłany z rejonu - pełnomocnik, który też starał się wykonać swoje "dyrektywy" często sprzeczne z interesem kołchozu.

Oprócz braku ludzkiej, a zwłaszcza męskiej siły roboczej, bo pracowali niemal wszyscy łącznie z 14 letnimi dziewczynkami, trudna była też sytuacja z siłą pociągową. Coraz to zabierano konie dla potrzeb armii, tak że pozostały tylko stare i chore konie. Wtedy to przyszedł nakaz, ażeby do lżejszych prac polowych /np. bronowanie/ używać krów. Najpierw więc przygotowano krowią uprząż, a później przyuczano te uparte zwierzęta do chodzenia w zaprzęgu. Oj namęczyły się te dziewczęta, zmuszone wraz z krową ciągnąć bronę.

W tym czasie ojciec mój podjął się i przyuczył do pracy kołchozowego buhaja. Ten dzielny przedtem reproduktor, osłabł na kiepskiej karmie i stopniowo stał się posłusznym do chodzenia w jarzmie. Ojciec wykonywał nim różne prace orał, bronował pole i woził nim różne ładunki. Ażeby nie narażać byka na gryzienie przez owady, wiele prac ojciec wykonywał w nocy. Było to możliwe, gdyż latem na Uralu noc jest bardzo krótka, a faktycznie to panuje półmrok. Kołchoźnicy podziwiali ojca mówiąc "smatri kak to Jan bykom jezdził".

X

Zimą 1943 roku zmarł mój dziadek Roman Fudała, zamieszkały wówczas we wsi. Pija, odległej od Zapłatiny o około 20 km. Gdy wiadomość o zgonie dotarła do nas, wyszliśmy z ojcem w nocy, by rano być na miejscu. Tylko śnieg skrzypiał nam pod nogami. Miejsce do grzebania, bo trudno to nazwać cmentarzem, znajdowało się na skraju tajgi.

Najpierw w lesie wyszukaliśmy "suchara" czyli suchą sosnę, którą popiłowaliśmy na kawałki i na plecach przenieśli do miejsca wybranego na grób. Tam też sosnę porąbaliśmy na drobniejsze kawałki. Na miejscu wybranym pod grób, po

odgarnięciu zwałów śniegu, rozpaliliśmy ognisko. Było to konieczne, gdyż ziemia zamarza bardzo głęboko, musi więc odtajać ażeby można ją było kopać. Po zgarnięciu na bok ognia, przy pomocy kilofa, łomu i łopaty, udało się wykopać nieco ziemi. Ten sposób trzeba było powtórzyć kilka razy, ażeby można było wykopać odpowiedni dół.

Trumnę ojciec wykołał z "dranic" czyli odłupanych z surowego pnia sosny, niby to desek. Nie było ich czym wygładzić poza siekierą. Cały, krótki zimowy dzień zszedł na urządzeniu pogrzebu. Niełatwo jest żyć na Uralu, a po śmierci nie brakuje utrudnień, związanych z wykonaniem trumny, czy też wykopaniem grobu.

x

Wspomniałem o trudnej sytuacji żywnościowej w kołchozie, co następowało stopniowo. Jeszcze gorzej było w miastach, gdzie wobec skąpego i niewystarczającego zaopatrzenia kartkowego, wkradał się głód. Mieszkańcy nawet odległych miast, /nawet z ~~mi~~ Krasnouralska/ a właściwie to kobiety, ciągnęły ze sobą małe sanki lub niosły plecaki, a w nich towar /odzież, nici, igły, sól itp/ do wymiany na żywność /mąkę, mięso, ziemniaki/. Zarząd kołchozu nie miał papieru, więc jak miał za co to też wymieniał szary, pakowy ^papier, do sporządzania dokumentacji. Normalnie to dla mieszkańca Uralu sto kilometrów to nie odległość. Lecz gdy przyszło ją pokonać osłabionej niedożywieniem kobiecie, to był ogromny wysiłek. Ale konieczność zmuszała do tego.

Ludność z miast też uciekała do kołchozów, zwłaszcza samotne kobiety, szukając w nich pracy i możliwości przeżycia. Latem to nawet byli potrzebni, lecz zimą i dla członków kołchozu nie starczało pracy. Na stałe zatrudniono w kołchozie tylko "pimokata" czyli fachowca, który w domowym warsztacie robił w owczej wełny walenki, na Uralu zwane "pimami". Jako brygadzysta otrzymałem z kołchozu nadzwyczajny przydział wełny, z których pimokat zrobił mi walenki i odtąd było mi ciepło w nogi. W warunkach uralskiej zimy przy mrozach 40 - 50 stopni, bez walenek obejść się nie można. Przy takiej temperaturze, gdy się splunęło, to ślina nim spadała na śnieg, zamarzała w powietrzu.

W okresie gdy w Kujbyszewie działała Ambasada Polaska w ZSRR, to jej mężem zaufania w Wierchoturje był pan Liberman. On też otrzymywał i rozdziałał popoc płynącą z zagranicy. W jej ramach otrzymywaliśmy pochodzące z demobilu

przefarbowane mundury wojskowe oraz obuwie. Były to rzeczy używane, ale bardzo nas wspomogły, gdyż chodziliśmy obdarci, w strzępach zużytej odzieży.

W Wierchoturje w tym czasie mieszkało kilku Żydów pochodzących z Polski, posiadających zawsze najnowsze wiadomości. Korzystałem z każdej okazji wyjazdu do "goroda", podobnie jak ojciec, ażeby tam się czegoś dowiedzieć. Dopóki były utrzymywane stosunki z rządem polskim na emigracji to zachodziło się do męża zaufania. Wracało się więc z świeżymi wiadomościami, pogłoskami czy też plotkami, które o ile były pomyślne podnosiły na duchu.

Przykrym następstwem zerwania stosunków dyplomatycznych w kwietniu 1943 r. było odbieranie Polakom tych tymczasowych zaświadczeń o amnestii i polskim obywatelstwie, oraz powtórne traktowanie nas jako obywateli ZSRR. Wezwał więc pełnomocnik NKWD i nas do Prokop-Sałdy i zażądał oddania "udostowierenia". Ponieważ dotarły do nas wiadomości, że opornych Polaków zamykają do "tiurmy" dlatego też oddaliśmy je, bez oporu, chociaż nie bez żalu. Następnie NKWD przez "pasportnyj stoł" wydało nam paszporty z 6 - miesięcznym okresem ważności, wmuszając nam radzieckie obywatelstwo. Chociaż byliśmy zmuszeni oddać zaświadczenia, nie zwątpiliśmy, że i tak do Polski wrócimy.

Aktualności polskiej sprawy dowodziły artykuły zamieszczane w czasopiśmie "Nowe Widnokręgi", które chociaż rzadko, ale docierało do nas. Do kołchozu przychodził dziennik "Uralskij Rabocizj" z którego dowiedzieliśmy się o powstaniu Związku Patriotów Polskich, i o tym że w składzie zarządu głównego jest Andrzej Witos, nazwisko dobrze znane wszystkim polskim chłopom. Krzepiąc się tymi wiadomościami, staraliśmy się dzielić z nimi z rodakami zamieszkałymi w sąsiednich wsiach Złygostiewa i Batrakowa.

W 1944 roku /byłem w tym czasie w wojsku/ w kołchozie była taka bieda, że do jedzenia przydzielano tylko makuch z rzepaku /zwykle stanowiący dodatek do paszy dla bydła/ oraz jakieś zmiotki z młyna. Po zjedzeniu tego makucha mój ojciec dostał silnych bólów żołądka. Mama uprosiła przewodniczącego kołchozu, który dał konia potrzebnego dla dowiezienia ojca do szpitala. Sprowadzono więc kulawego konia, którego najpierw trzeba było nakarmić trawą /był przecież przednówek/. W Ośrodku Zdrowia w Prokop-Sałdzie nie było lekarza. Karmiąc i pasąc po drodze osłabionego konia, mama dowiozła jęczącego z bólu ojca do

do szpitala w Wierchoturje. A tu w szpitalu też nie było lekarza. Dopiero pod konwojem przyprowadzono go z więzienia. Po zbadaniu kazał ojca zostawić w szpitalu. Mama musiała zaraz wracać, gdyż rodzeństwo pozostało bez opieki, a i koń był potrzebny w kołchozie. Gdy po dwu dniach mama wróciła ojciec już nie żył. Na brzuchu widniał pooperacyjny szew, co dowodziło że został poddany zabiegowi, którego nie przeżył. Ojciec zmarł 4 lipca 1944 roku.

W przyszpitalnym gospodarstwie pomocniczym pracowała rodzina Jana Grzesiaka /też z Wawelówki/, która opowiedziała mamie o tym zdarzeniu. Mama zatrzymała się u nich, by pochować ojca. Pieniądze pochodzące ze sprzedanego na bazarze tytoniu /uprawianego w kołchozie/ pozwoliły na zakup trumny i opłacenie prawosławnego "świaszczennika" /duchownego/ który pomodlił się nad zwłokami ojca. Z pomocą Jana Grzesiaka mama sprawiła się z pogrzebem, grzebiąc ojca na wierchoturjskim cmentarzu. Jan Grzesiak też niedługo potem spoczął na tymże cmentarzu.

Oprócz zgonów istotne były i inne powikłania chorobowe. Siostra Maria /zmarła w 1986 roku/ przywiozła z Urala nabytą tam wadę serca oraz malarię i uszkodzoną wątrobę, jako bezpośrednie następstwo ukąszenia przez komary. Trudne warunki klimatyczne, bardzo ciężka praca, niewystarczające wyżywienie musiały się odbić na stanie zdrowia każdego z nas, co też odczuwa się do dnia dzisiejszego. Tak siostra jak i młodszy brat Eugeniusz, są niskiego wzrostu, co też trzeba odnieść na karb niedożywienia, powodującego niedorozwój młodego organizmu.

X

W wyniku starań czynionych przez Związek Patriotów Polskich, jesienią 1944 roku, polskie rodziny z Urala zostały przewiezione na południe ZSRR, głównie na Ukrainę, gdzie miały być znośniejsze warunki klimatyczne i życiowe. Moja rodzina trafiła więc do sowchozu "Radjańskaja Ziemia", Biełozierskiego rajonu, Chersońskiej obłasti. Z surowego, lecz suchego uralskiego klimatu, trafili do stepowej, upalnej latem Ukrainy, za to z mokrą i deszczową zimą. Namieszkania przydzielono im gliniane baraki, bez podłogi, o dachu wykonanym z "buranu" czyli łodyg chwastów rosnących w stepie. Taki dach podczas deszczu stale przeciekał. Również łodygi buranu służyły za skąpy opał. Nie było więc czym palić, by się ogrzać, osuszyć czy też ugotować skąpy posiłek. Jednak Ural pod

względem opału był jednak lepszy. Sytuacja żywnościowa też była prawie głodowa. Rodzinę utrzymywały pracując siostra Maria i kuzynka Apolonia. Wyżywienie nie było kartkowe i niewystarczające. Dokupić nie było za co, chociaż połowę swoich poborów podporucznika, przekazywałem po "attiestatu". Pozwalało to mamie czasem dokupić coś do jedzenia /np. ryby/, by utrzymać się przy życiu.

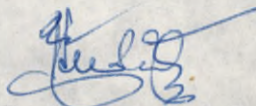
X

Rozpoczęta w lutym 1940 roku gehenna miała się zakończyć dopiero wiosną 1946 roku, a więc po przeszło sześciu ~~sardzo~~ bardzo długich ~~pałaz~~ latach tułaczki i poniewierki na obczyźnie. Zimą 1945/1946 roku zaczęły się na Ukrainie zapisy na repatriację do Polski. Ale to że się jest Polakiem trzeba było jeszcze udowodnić. Władza radziecka niechętnie wypuszcza od siebie darmowych niewolników. Chociaż miejscowe władze dobrze wiedziały z kim mają do czynienia, nie mogły sobie odmówić przyjemności poznęcania się nad "Lachami". Każdy więc wygrzebywał dokumenty uwiarygodniające fakt zamieszkania w Polsce /świadczenia szkolne, kwity podatkowe itp./ a jak ich nie było podpierał się zeznaniami sąsiadów i znajomych. Niektórzy nie przetrzymali trudnej zimy i kłopotów, pozostając na zawsze na obcej ziemi.

Koniec tej tułaczki dla mojej rodziny nastąpił w kwietniu 1946 roku, gdy po długiej podróży zamieszkała na terenie powiatu Złotoryja. Wróciła niepełna, gdyż pomniejszona o tych, którzy zmarli na obczyźnie.

A te wspomnienia mają na celu uchronienie od zapomnienia tych bolesnych przeżyć, tragicznych w swej wymowie. Chodzi też o to, by nigdy już nie były dla nas straszne "białe niedźwiedzie" i nie groził nam "Sybir".

19 lipca 1989 r.



mgr Tadeusz Fudała

ul. Manifestu Lipcowego nr 16 b/6

63-401 Ostrów Wielkopolski
